

Rozdział trzeci

Po tych dygresjach wracam do chronologicznego porządku mojej opowieści.

Gdy przystępowałam do confirmacji, miałam lat czternaście i choć nie byłam najmłodsza spośród wszystkich dziewcząt uczestniczących w uroczystości, to jednak z pewnością najdrobniejsza i najmniej rozwinięta. Kiedy dwa lata wcześniej moja starsza siostra była confirmowana, w chwili odbierania stosownego dokumentu złożyła jeszcze na ręce proboszcza trzy marki. Teraz mojej matki nie było już stać na zapłatę za mnie. Ponieważ naciskałam na nią, żebym mimo wszystko coś ze sobą wzięła, wręczyła mi złożoną kartkę, mówiąc: „Tu jest wszystko, co posiadam”. Pełna podejrzeń otworzyłam po drodze list i znalazłam w nim tylko kilka słów: „Nic nie mam”. Rozpaczliwe warunki, w jakich coraz częściej przychodziło nam żyć, skłoniły mnie do tego, by samej zarobić więcej, żebym w ten sposób mogła odciążyć rodziców. Już w czasach, gdy chodziłam do szkoły i pobierałam nauki, potrafiłam zdobyć dla matki jakieś ciężko zarobione pieniądze. Niedaleko nas mieścił się duży, jak na owe czasy, sklep nabiałowy. Codziennie sprzedawano i rozprowadzano wśród klientów czterysta do czterystu sześćdziesięciu litrów mleka i śmietany, przy czym śmietanę najczęściej sprzedawano do cukierni. I właśnie do tego roznoszenia zabierano mnie często, ale też do cięższej pracy. Mleko bowiem przybywało z Żuław latem na łodziach, ale zimą, kiedy wody skute były lodem, trzeba je było nosić. I tak zamawiano mnie często, żebym chodziła razem z tragarzami mleka. Musiałam wtedy wstawać o trzeciej w nocy, pogrążyć się w ciemnościach i wystawić na chłód. Bez spodni, w ojcowskich filcowych butach, mając pedy¹ z wiadrami na ramionach, z zawieszoną latarnią, szłam dwie i pół godziny do rolników i tak samo długo z powrotem. Dźwigałam od czterdziestu do czterdziestu pięciu litrów mleka i nie mogłam ich odstawić wcześniej, na chwilę odpoczynku, tak jak robili to mężczyźni i kobiety, bo wówczas pozostałabym w tyle i później bym ich już nie dogoniła. Mimo

całej mej zwinności i grubokościstości byłam jednak mała i szczupła. Kiedy przed szkołą wracałam do domu, byłam już po potrójnym śniadaniu (przed wyjściem i po powrocie kawa w sklepie nabiałowym, a u rolników sznaps i lodowata kromka chleba ze smalcem), z zarobionymi sześćdziesięcioma pięcioma fenigami. Mojej starszej i o wiele większej siostry nigdy nie można było wyciągnąć z łóżka.

Po konfirmacji pracowałam jeszcze we wspomnianym sklepie w kolejnych latach, choć z licznymi przerwami. Pierwszym miejscem pracy poza domem było przedsiębiorstwo przewozowe w Dolnym Mieście, w którym mój ojciec przepracował jakieś dwadzieścia czy dwadzieścia pięć lat. Było w nim ze sto koni, które najczęściej musiały przewozić z dworca do spichlerzy zboże, śledzie, naftę, drewno, węgiel i tym podobne. Kucharka właściciela oparzyła sobie wtedy nogę, więc musiałam ją zastąpić – o tyle, o ile mogłam poniechać robót domowych. W każdym razie musiałam tam przebywać od czwartej po południu do wpół do ósmej rano następnego dnia. Spałam na podłodze, a pomiędzy deskami były wielkie szpary. Nocami wyl wiatr, który przewiewał całe pomieszczenie. Dla dziesięcioletniego dziecka, jakim byłam, samotne wejście na górę wieczorem, po dziesiątej godzinie, było przerażające. A kiedy rankiem jakiś parobek wyrwał mnie ze snu, waląc długim drągiem w moje okno, wówczas na mojej pierzynie, która ważyła dobre piętnaście funtów, często zalegała gruba warstwa śniegu, bo zima była wtedy bardzo sroga. Kiedyś musiałam nosić wodę w wiadrach, które były dla mnie zbyt duże. Poślizgnęłam się w chodakach na pokrytej warstwą lodu studni i razem z wiadrami przykładden wywróciłam się na ziemię. Zobaczył to najstarszy syn pana domu, młody mężczyzna, który bardzo pomagał ojcu w interesach, podbiegł do mnie i grzecznie pomógł mi wstać. Uznałam to za wielki zaszczyt i z dumą opowiedziałam o tym w domu, a on jeszcze podarował mi parę butów po siostrze. To były moje pierwsze buty, nosiłam je tylko w niedzielę i często pożyczalam swojej siostrze. „Nośże je, noś – mówiłam do niej – kiedy się podrą, to znów się przewrócę”.

Jeszcze gorzej zapowiadało się na początku moje legowisko w drugiej pracy, we wspomnianym już sklepie nabiałowym. Na podwórzu znajdowało się pomieszczenie, w którym przechowywano wszystkie naczynia na mleko. W jego wnętrzu wydzielono drewnianą budę z dwoma

drewnianymi łózkami. Spałam tam z pewną grubą, starą dziewczuchą ze wsi, która była niesympatyczna i mrukliwa. Pierwszej nocy kładę ci ja się do łóżka i natychmiast się budzę, zapalam zapalke i ku swemu największemu obrzydzeniu widzę, że cała moja byle jaka pierzyna aż się roi od pluskiew. Szybciutko budzę grubą Tiene, a ta całkiem spokojnie odpowiada:

– Lot mi lige, ek feel nischt².

Wtedy biegnę do głównego budynku i mówię do gospodyni:

– Na miłość Boską, niech pani pójdzie ze mną na tyły i zobaczy, co tam się dzieje!

Ona też odpowiada:

– Schrei doch nicht so, de bitte e beske, ower wider done se nischt³.

Z domu rodzinnego wyniosłam silne przyzwyczajenie do czystości i dlatego na tę noc poszłam spać do rodziców. Następnego ranka oświadczyłam kobiecie, że chcę wypłenić pluskwy, inaczej nie będę w stanie tam sypiać. Ona zaś odpowiedziała:

– Nie męcz się, na pewno nie znikną!

– Nie – powiedziałam na to – same z siebie na pewno nie znikną, ale ja już im w tym dopomogę.

Musiała mi dać cztery marki na dwa nowe sienniki. Potem przytargałam dwa pęczki siana, wyniosłam obydwie łóżka na podwórze, wysypałam pierze do wielkiej grapy murarskiej i je podgrzałam. Później wyprałam i wygotowałam bieliznę pościelową. Noc spędziłyśmy na sianie, a następnego dnia wzięłam się za budę. W wielkim kotle zagotowałam porządną sos, zawierający wapno, chlor, sól, wodę, mydło oraz eter zakupiony w aptece za pięćdziesiąt fenigów. Wdrapałam się na budę, Tiene chwyciła za wielką konewkę i wielokrotnie podawała mi ją do góry. Ciecz wlewałam niestrudzenie we wszystkie szczeliny i wkrótce zaczęły się piętrzyć całe góry trupów krwiożerczych żyjatek. Kiedy wszystko wymyłyśmy i uporządkowałyśmy, nakryłyśmy stoły białymi obrusami i zawiesiłyśmy firanki, izdebka zrobiła się przytulna i wreszcie mogłam się wyspać. Państwo cieszyli się bardzo, a stara pasierbica chciała nawet, żebym ją zaprosiła na noc – pomyślałam sobie, że powinna to powiedzieć przed trzema dniami. Od tej pory nigdy nie podejmowałam pracy w miejscu, w którym nie spodobały mi się warunki

sypialniane. W tamtych czasach służące wciąż jeszcze lokowano w nieprawdopodobnych pomieszczeniach, bez światła, zatęchłych, w piwnicach albo na podłodze. Wtedy policja nie przejmowała się tym zbyt, dziś jest zupełnie inaczej. Służące, których zaczyna już brakować, traktowane są o wiele lepiej. To przecież niegodziwe – nie zapewnić należytego pomieszczenia na nocny odpoczynek dziewczynie, która przez cały dzień jest na nogach i musi być w gotowości do posługiwania każdemu.

Owa Tiene, moja koleżanka, miała paskudny charakter. Była leniwa, głupia i łakoma, poza tym nie kochała ani ludzi, ani zwierząt. Nienawidziła zwłaszcza naszych pięknych kotów, z którymi zabawa sprawiała mi ogromną przyjemność. Pewnego razu tak się wściekła z powodu takiej niewinnej igraszki, że dobrała mi się do skóry, ale się przeliczyła. Ja, gdańszczanka, która zwyciężyła tyle chwalebnych bitew na Górze Gradowej i przetrwała całe mnóstwo wymyślonych przez samą siebie walk zapaśniczych, błyskawicznie podstawiałam jej lewą nogę. Próbowала się ratować, ale w końcu musiała upaść i wtedy urządziłam jej solidną młóckę. W końcu przyszedł pan domu i nas rozdzielił, bo obserwował naszą walkę z okna izby i ucieszył się, że ja, taka kruszynka, pokonałam tego Goliata, za co podarował mi po cichu jeszcze pięćdziesiąt fenigów. Wszyscy inni kochali koty, a było ich razem cztery wielkie, czarne jak smoła, i trzy dokazujące młodziaki. I co zrobiła w gniewie ta ropucha? Musiała chyba załatwić sobie z apteki truciznę, bo najpierw wielkie kociśko przestało jeść, potem schudło i w końcu zdechło, to samo stało się z drugim, trzecim i czwartym. Uchowały się jedynie trzy maluchy, moi ulubieńcy. Pomyślałam, że ich pora też nadeszła, i postanowiłam zgutować im łżejszą śmierć. Pakuję je zatem do wielkiego fartucha, dokładam spory kamień i wrzucam szybko do starej maselnicy wypełnionej wodą, po czym biegnę z drzeniem na przód zakładu. Po jakiejś chwili, kiedy pomyślałam, że kotki już zdechły, skradam się z powrotem na tyły. Kiedy jednak dochodzę na podwórko, widzę całą trójkę wygrzewającą się z zadowoleniem w słońcu i porządkującą futerka po kąpieli. Tasiemka się rozwiązała, kamień opadł na dno, a koty wydostały się na zewnątrz. Wtedy wzięliśmy w obroty Tiene, która przyznała się do otrucia starych kotów. Ja pierwsza wymierzyłam jej dwa policzki, potem przyszli inni,